

W getcie szalała śmierć...

Ani jeden uczciwy lekarz nie godzi się dobrowolnie na śmierć pacjenta. Nawet podczas wojny, w warunkach obozu zagłady czy getta obowiązkiem lekarza jest ratowanie ludzkiego życia.

Brzmi to wszystko banalnie, ale okazuje się, że w praktyce bywa różnie, nadzwyczajne bowiem warunki powodują zezwierżenie wielu ludzi, a strach przed utratą własnego życia czy najbliższych paraliżuje działanie i ludzkie odruchy. W łódzkim getcie rozgrywały się sceny, przekraczające wszelką wyobraźnię. Świadcami tych wydarzeń byli także medycy.

Powstało w lutym 1940 roku

Getto w Łodzi założone zostaje 8 lutego 1940 roku. Pierwsze na ziemiach okupowanych powstaje już w październiku 1939 roku w Piotrkowie Trybunalskim, w Generalnej Guberni, to łódzkie, leżące w granicach Rzeszy, jest nietypowe. Okazuje się najbardziej izolowane od społeczeństwa i w gruncie rzeczy jest wielkim obozem pracy. W przypadku Warszawy jest mur, przez który można przerzucać żywność dla ludności żydowskiej, są też podziemne kanały umożliwiające ucieczkę. W Łodzi są „tylko” druty kolczaste i strażnicy strzelający do ludzi jak do kaczek.

W obrębie getta o powierzchni około 4 km kw. funkcjonuje blisko 200 zakładów przemysłowych pracujących na rzecz okupanta. To olbrzymi obóz pracy przymusowej, w którym ludzkie życie warte jest tylko tyle, ile wynosi dochód dla okupanta wyliczony przez skrupulatnych niemieckich rachmistrzów. Ludzie żyją w katastrofalnych warunkach, umierają z głodu, na tyfus. W przeciwieństwie do innych gett, to łódzkie trwa dzięki Chajmowi Rumkowskiemu. Prezes wie, że kiedyś wojna się skończy i trzeba dotrwać do tej chwili dzięki pracy na rzecz okupanta. Niemcy potrzebują rąk do pracy i oferta Rumkowskiego jest dla nich korzystna, przynajmniej na razie, choć Himmler domaga się przyspieszenia likwidacji getta w Łodzi, zgodnie z ustaleniami Rzeszy dotyczącymi „rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Małe miasto w wielkiej Łodzi

Getto funkcjonuje niczym sporej wielkości miasto, jak dobrze naoliwiona maszyna. Tak jest przynajmniej do „Wielkiej Szpery” – owego tragicznego przełomu. Choć śmierć codziennie czai się w każdym domu, za każdym zaułkiem – ludzie starają się żyć w miarę normalnie, odsuwając gdzie na bok najczarniejsze myśli. W siedmiu szpitalach lekarze

starają się ratować zarówno dzieci, jak i ludzi starszych, schorowanych.

Arnold Mostowicz, młody medyk wykształcony we Francji, po klęsce Polski w wojnie obronnej w 1939 roku pracuje w jednym ze szpitali stolicy, jednakże Niemcy przenoszą go do łódzkiego getta. Tu niesie pomoc małym pacjentom w szpitalu zakaźnym. Dopada go tyfus. Przez kilka miesięcy sam kuruje się w szpitalu. Wychudzonemu i schorowanemu ledwo udaje się przeżyć. Niemcy wywożą go do Aushwitz, a potem innych obozów.

Po wojnie chce zapomnieć o koszmarze getta i obozów zagłady. Chyba mu się to częściowo udaje, bo na kilka lat przez śmiercią, w 2002 roku, opowiada, że teraz lepiej pamięta tamte wydarzenia niż kilka lat temu. A Mostowicz jest świadkiem dantejskich scen w getcie, szczególnie podczas „Wielkiej Szpery” w dniach 5–12 września 1942 roku. Tak nazywano w getcie wielką brutalną akcję eksterminacyjną, wysiedleńczą.

Już 1 września przed szpital przy ul. Wesolej zajeżdżają dwa auta: ciężarowe i osobowe z trzema „panami i władcami”, którzy żądają załadowania wszystkich chorych. Sytuacja powtarza się w szpitalu przy ul. Drewnowskiej 75. Mendel Tron wspomina, że wielu chorych wyrzucano oknem na stojące na podwórzu auta. Eliezer Grynfeld, który zapisany był do przyjęcia na izbę przyjęć następnego dnia, przebiera się w szpitalny biały fartuch i pędzi do szpitala, by wyrwać z księgi kartę ze swoim nazwiskiem i adresem. Udaje mu się to, dzięki czemu ratuje życie. To właśnie wówczas jest świadkiem sceny, „jak nasi lekarze pomagają chorym, żeby Niemcy nie bili ich, bo bili ich kolbami i wrzucali na samochody. Naprzeciwko naszego szpitala – Łagiewnicka 36 – znajdował się szpital dziecięcy, ja zdębiałem. Bo Niemcy z pięter zrzucali pierzyny i dzieci. Zrzucali dzieci z trzeciego piętra. Małe dzieci z pierzynkami wyrzucali przez okno. Pielęgniarki próbowały znosić te dzieci po schodach, ale nie nadążały”. Świadkiem tych scen jest również pracownica szpitala Regina Widawska. Gerszon Szapira ze szpitala naprzeciwko obserwuje wyrzucanie oknem z czwartego piętra także noworodków.

Niektórzy pacjenci szpitala przy Łagiewnickiej wyłamują drzwi i ogrodzenie, by uciec do domu. Są ciężko chorzy, często półnaczy. Niemcy do nich strzelają. Podobnie jest przy ewakuacji innych szpitali, m.in. przy Drewnowskiej, Wesolej... W przypadku tego pierwszego Niemcy podejrzewają lekarzy i pielęgniarki, że ukryli wielu chorych. Biją nahażkami personel.

Lekarskie „alibi” dla Rumkowskiego

Władze niemieckie 2 września 1943 roku żądają od przełożonego starszeństwa Żydów w łódzkim getcie Chajma Rumkowskiego, by wydano minimum 200 zbiegów szpitalnych. Gorliwa Służba Porządkowa ściąga więcej ludzi, by zadowolić Niemców. Wielu chorych, którzy cudem wydostali się ze szpitali i ukryli w domach, teraz są wyłapywani.

„Towarzyszą temu straszne, rozdzielające sceny. Ludzie płaczą, całują policjantów po rękach...” – czytamy w Kronice Getta Łódzkiego. Gdy chorego nie ma w domu, bo np. deportowano go wczoraj, zabierają jego żonę. Wywożą nie tylko dzieci, ale i osadzonych w Centralnym Więzieniu. Prezes Chaim Rumkowski, zwany „Królem Getta”, nie wie o całej akcji i o tym, że wśród wysłanych ze szpitala jest jego szwagier i teść. Teścia udaje mu się uratować w ostatniej chwili, szwagra – nie.

Najgorsze zaczyna się kilka dni później. Rumkowski 5 września zakazuje mieszkańcom getta opuszczanie domów po godz. 17. Kilka godzin wcześniej wiadomo już, że akcja wysiedleńcza obejmie także dzieci poniżej dziesięciu lat i starców powyżej 65 lat. Hans Biebow rzekomo obiecuje Rumkowskiemu, że jeśli Żydzi oddadzą dzieci, nie będzie więcej wysyłek. Rumkowski zwołuje zebranie lekarzy. Bierze w nim udział m.in. Arnold Mostowicz, który w 1998 roku wspomina: „nie byli wszyscy obecni, ale było jakieś sześćdziesięciu lekarzy z całą pewnością, może nawet więcej. I on nam przedstawił tę sprawę. [...] I pytał lekarzy o zdanie w tej sprawie. Mogę sądzić, że on by się z tym zdaniem nie liczył (gdyby było inne), ale był na tyle sprytny, że chciał mieć tego rodzaju społeczne poparcie. Na tym zebraniu 90 procent lekarzy wypowiadało się za tym, że trzeba to zrobić”, by uratować znacznie więcej mieszkańców getta.

Podczas słynnego przemówienia Prezesa w dniu 5 września na pl. Strażackim wśród zgromadzonych są i lekarze. Prezes płacze, mówiąc o tym, że Niemcy żądają od niego ofiary w postaci 24 tys. chorych i dzieci. Ludzie też rozpaczają, krzyczą, protestują. Matki i ojcowie nie godzą się na oddanie dzieci. Konstanty Wołkowski ukrywa dwóch chłopców w szpitalnej trupiarni. Bobow ich odnajduje i zabija kulą w kark.

Lekarze są bezsilni. Obserwują dramat getta i mimo wszystko usiłują pomagać mieszkańcom. Wielu z nich zastraszonych i wynędzniałych, często pozbawionych najbliższych, zachowuje godność i człowieczeństwo. Gdy latem 1944 roku dochodzi ostatecznie do likwidacji najdłużej funkcjonującego na ziemiach polskich getta, dzielą tragiczny los wielu jego mieszkańców.

Ryszard Poradowski

Panaceum 9/2024